

Ukraińskie pytania

4 grudnia 2016

Dość skąpa oprawa medialna towarzyszyła jednodniowej, niespodziewanej wizycie prezydenta Ukrainy Petra Poroszenki w Polsce. Powód ku temu wprawdzie był, choć trochę naciągany – 25. rocznica uznania niepodległości Ukrainy w 1991 r. przez Polskę. Oficjalne komunikaty z wizyty też składały się ogólników. Pytanie więc brzmi: po co Poroszenko przyjechał do Polski?



Zgodnie z przewidywaniami portalu Strajk.eu, jednym z tematów rozmów w Polsce były historyczne relacje między naszymi krajami. Prezydent Duda powiedział, że trzeba zainicjować polsko-ukraińską „instytucję dobrego sąsiedztwa”, która miałaby charakter „pozapolityczny, historyczno-międzynarodowy”. Polski prezydent oczywiście zaprezentował myślenie życzeniowe w pełnej krasie, bo nic, co się dzieje między Polską a Ukrainą nie jest pozapolityczne, ale mniejsza o to. Warto zwrócić uwagę na nacisk, położony na próbę uporządkowania wspólnej historii.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa można domyślać się, że wizyta Poroszenki wywołana była nie tylko raptownym pogorszeniem się wzajemnej atmosfery (bo oficjalne relacje są mniej więcej w

porządku) ale też w ogóle nową sytuacją wokół obu naszych krajów. Zmiana gospodarza Białego Domu i jego międzynarodowej retoryki, w tym deklarowana chęć jeśli nie przyjaźni, to choćby większych starań w rozumieniu Rosji, wstrzeźżliwe oceny ukraińskiego konfliktu, pękanie Europy wokół relacji z Kremlen – to wszystko mogło wywołać w Kijowie niepokój. A z kim mogliby się Ukraińcy podzielić swoimi emocjami, jeśli nie z Polską, która do tej pory wiernie trwała na proamerykańskich i antyrosyjskich pozycjach, dokładnie takich, jakie cechują kijowskie kierownictwo? Poza tym to nie jest dobry czas dla Ukrainy. Ogromne trudności gospodarcze, niesłabnąca, a nawet wzmagająca się korupcja, całkowite oderwanie się elit politycznych od społeczeństwa, rosnące niezadowolenie ludzi z pogarszającego się poziomu życia, to wszystko na raz mogło zmusić Poroszenkę do próby ponownego przeliczenia, na kogo jeszcze może liczyć. Gdy sytuacja międzynarodowa wydaje się być płynna, w Kijowie zupełnie słusznie zdecydowano, że dobrze byłoby pogadać o tym co dalej i o możliwych wariantach, jeżeli nagle okaże się, że trzeba będzie przededefiniować kilka istotnych zagadnień.

Prezydenci Polski i Ukrainy wzięli więc udział w piątkowej konferencji w ramach cyklu Forum Przywództwa pt. „Polska-Ukraina. Partnerstwo w praktyce. 25-lecie uznania niepodległości Ukrainy przez Polskę”.

„Słabość zawsze kusi wrogów; gwarancją niepodległości jest sprawny i efektywny aparat państwowy” – mówił prezydent Andrzej Duda.

Jak podkreślał, niepodległość nigdy nie jest dana raz na zawsze. „Słabość zawsze kusi wrogów. Dzieje państw i społeczeństw potwierdzają tę prawdę. Gwarancją niepodległości jest zatem sprawny i efektywny aparat państwowy” – powiedział Duda. Zauważył, że nie istnieje żadna międzynarodowa organizacja, pakt, traktaty, które mogłyby państwo w tym zadaniu zastąpić. „Transparentna i skuteczna administracja, stabilna gospodarka, szczelny system podatkowy, uczciwy,

bliski obywatelowi samorząd terytorialny, to instrumenty, które budują zaufanie społeczeństwa do państwa, umacniając tym jego niepodległość” – mówił m.in. polski prezydent.

Poroszenko w odpowiedzi dał popis wyjątkowego lizusostwa. Mało tego, że dziękował za dotychczasową postawę Polski wobec Majdanu i jego następstw. Mało, że rozpływał się nad tym, jak to Polacy wyjątkowo cenią wolność swoją i cudzą. Dobrze wiedząc, w jaki sposób uradować prezydenta Dudę i rząd PiS, zasugerował, że w Smoleńsku był zamach („Bo przecież doskonale wiecie, jak strasznym jest to (...) gdy ktoś dąży do zniszczenia elity, tak jak to się stało w niebie, w przestworzach nad Smoleńskiem”). Żeby rozmówcy przypadkiem nie byli rozczarowani, że powiedział w tym miejscu „ktoś”, a nie „Rosja”, szybko przeszedł do kwestii rosyjskiej propagandy, która jego zdaniem – na szczęście bez powodzenia – szerzona jest także nad Wisłą. Żeby przekonująco wypaść, Poroszenko zważył na rzeczoną propagandę nawet przypadki niszczenia w Polsce ukraińskich cmentarzy, także takich, które nie mają nic wspólnego z UPA. Zupełnie jakby polskich narodowców trzeba było specjalnie przekonywać do tego rodzaju aktów „walki o Polskę”.

„My koniecznie zwyciężymy, bo wiemy, jaka jest prawda. A prawdy z nimi nie ma, bo z nami jest Bóg, a z nimi Boga nie ma” – skonkludował wreszcie ukraiński prezydent-oligarcha. Z taką retoryką, gdyby urodził się prawdziwym Polakiem, zrobiłby doprawdy karierę na prawicy.

W takim kontekście, z mojego punktu widzenia szczególnie interesująca jest proponowana przez prezydenta Dudę dobrosąsiedzka instytucja historyczno-międzynarodowa. Co spowodowało, że aż głowa państwa musiał nawiązać do niełatwej historii wzajemnych relacji między naszymi państwami? Rzeczywiście, wiele wskazuje na to, że sytuacja w tej dziedzinie jest trudna i trzeba wiele wysiłku, by ją unormować. Jeżeli jednak przez 25 lat istnienia niepodległego państwa ukraińskiego niewiele się zmieniło, to może warto

jeszcze raz zastanowić się, co można zrobić, by nasza wspólna historia przestała być przeszkodą, a stała się tym, czym stać się powinna, czyli „nauczycielką życia”, lekcją, z której trzeba wyciągać wnioski?

W Polsce przez ten czas ścierały się dwa podejścia do przeszłości: jedno, prezentowane przez środowiska wywodzące się z liberalnych elit solidarnościowych, polegające na przemilczaniu wydarzeń trudnych i tragicznych, poszukiwaniu, często na siłę, wszystkiego, co nas łączy i narzucaniu w tym duchu jednej, obowiązującej narracji. Stanowisko to, w związku z tym, że przez ponad 20 lat rządziły w Polsce te właśnie elity lub środowiska, które potrzebowały ich akceptacji, było stanowiskiem oficjalnym. Stanowisko drugie polegało na ocenie Ukraińców i ich państwa niemal wyłącznie przez pryzmat ludobójstwa na Kresach Wschodnich, znanego w uproszczeniu jako rzeź wołyńska. Było ono żywe w części społeczeństwa, rodzinnie lub wspólnotowo związanym z ofiarami tej rzezi. Polityczną zaś emanacją tego podejścia były środowiska narodowe i nacjonalistyczne, praktycznie pozostające na marginesie oficjalnej sceny politycznej.

Niepokojącym spoiwem pierwszego stanowiska była nieskrywana wrogość wobec Rosji, prezentowanie jej jako wspólnego wroga dla Polski i Ukrainy. To rosyjskie zagrożenie i potrzeba jednoczenia się przeciw wrogowi miało służyć za usprawiedliwienie dla oficjalnego milczenia o wołyńskiej tragedii, omawianej co najwyżej w wąskich gronach historyków-specjalistów. Liczono na to, że zapomnienie o tragedii ludobójstwa stanie się trwałe. Przyniosło efekt odwrotny: rósł sprzeciw wobec nieprawdziwego opowiadania historii, a nacjonaści mogli dzięki temu ubierać się w szaty jedynych obrońców prawdy historycznej (którą też interpretowali po swojemu) i zdobywać jeśli nie nowych zwolenników, to choćby sympatyków swoich organizacji, biorących „w obronę” skrzywdzonych przez zapomnienie i bagatelizowanie.

Odsunięcie kartką wyborczą rządu Platformy Obywatelskiej i

oddanie władzy Prawu i Sprawiedliwości wiązało się ze zwrotem oficjalnej polityki ku akceptacji oficjalnego patriotyzmu, często płynnie zamienianego w nacjonalizm. PiS musiało choćby częściowo wywiązać się ze swoich obietnic przywrócenia pamięci o rzezi wołyńskiej, pojawiały się zatem w przestrzeni publicznej informacje, dyskusje i przekazy o tragicznej historii. Ukoronowaniem tego było wejście na ekrany kin filmu „Wołyń”, który został zaskakująco dobrze przyjęty, a liczba widzów na seansach pokazała, że pamięci o tym wydarzeniu nie udało się zamrozić. Przedtem jeszcze była sejmowa uchwała nazywająca rzeź wołyńską ludobójstwem, która pociągnęła za sobą zauważalne ochłodzenie w relacjach polsko-ukraińskich, wyrażone kontruchwałą kijowskiej Rady Najwyższej oraz gniewnymi oświadczeniami licznych polityków i intelektualistów.

W tym aspekcie wizyta Poroszenki i próby uporządkowania naszych stosunków tej dziedzinie są całkowicie zrozumiałe. To jednak nie jest i nie będzie proste.

Ukraina ma problem z własną historią od samego początku swej niepodległości. Krajowi wówczas potrzeby był jak powietrze mit założycielski i stworzenie jednolitej narracji dotyczącej samoidentyfikacji narodowej. Wybrano drogę zaprzeczania związków ze Wschodem, upierania się, że Ukraina „zawsze była europejska”. Po Majdanie postanowiono wyrzucić na śmietnik pamięć o Związku Radzieckim – w całości. Według aktualnej narracji ponad siedem dekad XX wieku na Ukrainie było jednym pasmem koszmaru. Zjednoczenie narodowe miało opierać się na tradycji UPA, wbrew elementarnej logice przypominając, że formacja ta (abstrahując chwilowo od jej charakteru i działań) po prostu nie może być wspólnym doświadczeniem Ukraińców, gdyż działała tylko na ziemiach przedwojennej II Rzeczypospolitej... Mimo to po 1991 r. najpierw nieśmiało, potem coraz śmielej marsze organizowano marsze weteranów UPA, którzy obecnie są już stałymi gośćmi na oficjalnych ukraińskich świętach państwowych. Kiedy w 2012 roku nacjonalistyczna partia

Swoboda, nie ukrywająca swojej fascynacji faszystowskimi i nazistowskimi elementami zdobyła w ukraińskim parlamencie czwarte miejsce, okazało się, że jest już za późno – ukraiński nacjonalizm wywalczył sobie stałe miejsce na scenie politycznej. Nawet jeśli sama Swoboda nie może przebić się na szerszą skalę poza zachodnie obwody, hasła narodowe w sposób mniej lub bardziej otwarty podchwytyją inne partie. Wiedzą, że co jak co, ale opowiadanie o Banderze się spodoba. A potem był Majdan i wszystko to, co po nim.

Polska narracja pomajdanowej Ukrainy ponownie rozdzieliła się na dwa, wyraźnie od siebie różne nurty. Jeden, zaprzeczający faktom, że znaczący głos w ukraińskiej polityce i życiu społecznym mają ruchy skrajnie nacjonalistyczne, i drugi, przekonujący, że „wszyscy Ukraińcy to faszyści”. Oba nieprawdziwe.

Problem w tym, że ukraiński nacjonalizm, często faszyzujący lub wręcz nazistowski jest widoczny przede wszystkim dlatego, że widać go w elitach i środowiskach związanych z obozem władzy. Związany często z historią. Uznanie za bohaterów narodowych Stepana Bandery i Romana Szuchewycza, gloryfikacja Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii wywołało konieczność stworzenia takiej historycznej narracji, która musi zakłamywać historię, by bohaterowie byli do przyjęcia nie tylko na Ukrainie, ale i w społeczności międzynarodowej. Stąd albo negowanie wprost rzezi wołyńskiej, w czym celuje szef ukraińskiego IPN Wołodymyr Wiatrowycz, lub jej relatywizowanie: mówienie, że była to usprawiedliwiona reakcja uciśnionego narodu ukraińskiego za prześladowania religijne i narodowe dokonywane przez polskie władze sanacyjne, prowokacja rosyjskiego NKWD (czym niedawno błysnął wołyński radny Borys Zahrewa) lub po prostu element trwającej już wcześniej wojny polsko-ukraińskiej. Udowadnia się żywiołowy charakter ukraińskich mordów na Polakach wywołany sytuacją, podburzeniem, emocjami wreszcie. Taki nieszczęśliwy przypadek. A co do Bandery, to podnosi się, że

przecież był więźniem niemieckiego obozu koncentracyjnego, siedział tam podczas wołyńskiej tragedii, a w ogóle to nigdy OUN nie miał w planach ludobójstwa na Polakach. I to wszystko wbrew historycznym dokumentom znanym od dawna, jednoznacznie wskazującym, że integralną częścią ideologii OUN było przygotowywanie do rozprawy z Polakami.

Datowana na 1931 rok wydania broszura OUN „Jak i za co walczyć z Polakami” jasno i jednoznacznie wskazuje, że to Polacy będą celem ataku Ukraińców. „Naród ukraiński dopiero wówczas odzyska swoje prawa, kiedy z bronią w ręku wystąpi przeciwko lachom-okupantom i wypędzi ich ze swoich ziem” mowa w dokumencie Egzekutywy OUN. Zaś pochodząca z 1938 roku „Doktryna wojskowa ukraińskich nacjonalistów” jest dużo bardziej precyzyjna: „Zadaniem naszego powstania jest nie tylko zmiana ustroju politycznego. Powinno ono oczyścić Ukrainę z cudzego wrogiego elementu i z niedobrego własnego. Tylko podczas powstania będzie okazja, aby wymieść dosłownie do ostatniej nogi element polski z ZUZ i w ten sposób położyć kres pretensjom Polaków co do polskiego charakteru tych ziem. Element polski, który będzie okazywać opór, powinien polec w walce, a pozostałych należy sterroryzować i zmusić do ucieczki za Wisłę. (...) ZUZ przyszłego mocarstwa ukraińskiego powinny być czyste z narodowego punktu widzenia, ponieważ ziemie te mają szczególne znaczenie dla przyszłości państwa ukraińskiego... Trzeba pamiętać, że im więcej wrogiego elementu polegnie podczas powstania, tym łatwiej będzie budować mocarstwo ukraińskie i tym silniejsze ono będzie”.

Trudno po lekturze tych dokumentów zaprzeczać planowanemu, ludobójczemu charakterowi działalności OUN i UPA. A ukraińskie elity wciąż to robią. Ukraina jest wolna w wyborze swoich bohaterów historycznych i ideologii, na które chciałby się powoływać. Jej sąsiedzi wolni są jednak w formułowaniu ocen tychże bohaterów. Wyciągając wnioski z historii, mają też prawo do strachu.

Czy jest on zasadny? Wielokrotnie jeździłem na Ukrainę i mam

tam wielu przyjaciół, więc nie mam wątpliwości, że skrajny nacjonalizm nie jest dominujący w ukraińskim społeczeństwie. Jest ono zresztą tak zmęczone walką o godne życie, że mało zajmują je walki na górze czy rozważania nad tożsamością. Problem jednak w tym, że to elity narzucają i formują obowiązującą ideologię. A niewiele jest pocieszającego w obserwacji ukraińskiego życia politycznego. Jeżeli prezydent Poroszenko bez skrępowania cytuje w swoim przemówieniu Dmytro Doncowa, to znaczy, że nie czuje choćby zażenowania z powoływania się na autora dzieła „Nacjonalizm”, przy którym niektóre twory niemieckich nazistów to dziecięcy szczebiot. To mniej więcej tak, jakby prezydent Duda cytował Alfreda Rosenberga w swoim wystąpieniu. Jest atmosfera przyzwolenia na tego typu zachowania. Jeżeli w polskich mediach wskazywane są symbole nazistowskich formacji, które na własne sztandary wciągają ukraińskie oddziały, to nie jest to zabawa w żołnierzyki niedojrzałych młodych ludzi, tylko sygnał, że oddziały te chętnie odwołują się nie tylko do gestów i symboliki, ale też do idei swoich nazistowskich wzorców. Czy mogą wprowadzić je w życie, jeżeli znajdzie się wódz, które zechce poprowadzić je przeciwko wrogowi? To dobre pytanie, na które odpowiedź określa niepokój obserwatorów ukraińskiej sceny politycznej.

A przecież nie można wiecznie siedzieć w historii, budując polsko-ukraińskie relacje. Tak się nie da budować ani stosunków międzynarodowych, ani przyszłości, ani Europy w jakimkolwiek kształcie. Ukraińcy, używając terminów psychologicznych, powinni „przepracować” swoją historię. Rzec nie w tym, żeby wiecznie tarzali się w samooskarżeniach i bez końca przepraszaali. Ukraina jednak zrozumieć powinna, podobnie jak Niemcy po II wojnie światowej, że zacieranie granic między dobrem a złem w swojej historii nie zbuduje wokół niej zaufania. Tym bardziej, że skoro wciąż widoczni są miłośnicy tamtych zbrodniczych ideologii, mało tego, nabierają siły i znaczenia, to państwa sąsiadujące z Ukrainą, jako się rzekło, mają prawo do strachu. Bo dopóki elity nie są w stanie

jednoznacznie nazwać ciemnych momentów swojej przeszłości, to budowanie normalnej przyszłości będzie bardzo trudne. A naród ukraiński zasługuje na normalność.

Autorstwo: Maciej Wiśniowski

Zdjęcie: [Global Panorama](#) (CC BY-SA 2.0)

Źródło: [Strajk.eu](#)